

Ucieczka z Góry Umarłych

7 marca 2010

Nasi czytelnicy z pewnością dobrze znają historię dramatycznego finału wyprawy radzieckich studentów w rejon uralskiej Góry Umarłych. Choć większość osób, które zajmowały się badaniem ich przypadku nie żyje, warto zapoznać się z relacjami tych, którzy wciąż pamiętają tragedię z 1959 roku. Tymczasem tajemnica trwa nadal i żadna z wysuniętych dotąd hipotez zdaje się nie wyjaśniać do końca tragedii 9 osób, które w pośpiechu i przerażeniu opuściły obóz rozbity w miejscu uznawanym przez miejscowe plemiona za temat tabu. Co ciekawe, nie byli oni jedynymi ofiarami miejsca, które wkrótce nazwano Przełęczą Diatłowa.

MISTYKA

Dziwnym zbiegiem okoliczności na Górze Umarłych kilkukrotnie ginęły grupy składające się z 9 osób. Jedna legenda głosi, że dawno temu na górze życie straciło dziewięciu Mansów. Zimą 1959 roku w ten rejon wybrało się 10 turystów, jednak wkrótce jeden z nich musiał z powodów zdrowotnych zrezygnować z udziału w wyprawie. Tak więc pozostało ich dziewięciu...

W przypadku można wierzyć lub nie, jednak prawie 40 lat później (opisana tu wyprawa miała miejsce 1999 roku, a szczególnie najnowszej wyprawy do Przełęcz Diatłowa zaprezentowano poniżej) uczestnictwo w wyprawie składającej się z 9 osób wywoływało mieszane uczucia. Kiedy spotkaliśmy się na dworcu w Swierdłowsku okazało się, że jest nas dziewięcioro. Ponieważ jednak trójka z nas nie mogła dołączyć do ekspedycji pozostali odetchnęli z ulgą. Mieliśmy jeszcze sporo czasu więc wybraliśmy się do miasta by spotkać się z tymi, którzy znali uczestników tragicznej wyprawy.

Udało nam się odnaleźć Walerię Patruszewą, wdowę po lotniku, który jako pierwszy zobaczył z powietrza ciała zaginionych.

– Mój mąż Gennadij spotkał ich w hotelu w miejscowości Wiżaj, w którym zatrzymali się przed wyruszeniem na ekspedycję. Ponieważ Giennadij interesował się miejscowymi legendami zaczął namawiać młodych ludzi aby zrezygnowali z wyprawy w góry, które w miejscowym języku mają nazwy takie jak: „Nie idź tam!” czy „Góra dziewięciu zmarłych!”. Jednak to byli doświadczeni turyści, w mistykę nie wierzyli. Ich szef, Igor Diatłow był człowiekiem twardo stawiającym na swoim, ile by go nie namawiać, trasy wyprawy nie zmienił...

Wyprawa posiadała trzecią kategorię trudności obejmując podejście pod stosunkowo niewysokie góry. Trasa była ciężka, jednak w zupełności do przejścia. Przy takich warunkach absolutnie nic nie wskazywało na to by miała wydarzyć się tragedia.

Igor Diatłow, który przewodniczył wyprawie i na cześć którego nazwano feralną przełęcz.

40 lat później płyniemy rzeką Łozwa – dokładnie wzdłuż trasy, którą grupa Diatłowa zbliżała się do wzgórz. Przyroda wokół jest zniewalająca, widoki jak z albumów fotograficznych i wszechogarniająca cisza. Wciąż trzeba sobie mówić, że wystarczy jeden błąd w tym usypiającym otoczeniu by zginąć...

Błąd „diatłowców” polegał na tym, że nie posłuchali rad i wybrali się w „zakazane” miejsce...

Jaki błąd popełniliśmy dowiedzieliśmy się dopiero później od miejscowych. Nie powinniśmy byli przechodzić przez Złote Wrota – dwa olbrzymie głazy na szczycie jednej ze skał. Nagłą zmianę stosunku do nas miejscowych bóstw, lub jak kto woli po prostu przyrody, odczuli boleśnie nawet zatwardziali materialisci. Prawie od razu rozpoczęła się ulewa trwająca przez tydzień (rzecz niebywała jak twierdzą tubylcy), rzeki wylały z brzegów, suche fragmenty gleby pod naszymi namiotami zaczęły w katastroficznym tempie kurczyć się. Doszło do sytuacji, że nawet odwrót w tych okolicznościach był śmiertelnie

niebezpiecznym zadaniem.

CO ICH ŚMIERTELNIE PRZERAZIŁO?

Tymczasem 40 lat wcześniej było znacznie gorzej. 1 lutego 1959 roku grupa Diatłowa rozpoczęła podejście na bezimienne wtedy wzgórze nr 1049. Dziś wszyscy znają je jako Górę Umarłych lub Przełęcz Diatłowa. To właśnie tam 2 lutego (lub dzień wcześniej) z niewyjaśnionych dotąd przyczyn doszło do tragedii. Ponieważ zapadał zmrok turyści zdecydowali się rozbić obozu na stoku. To potwierdza, że nie bali się trudności – na stoku, gdzie nie ma osłony lasu jest dużo zimniej niż u podnóża góry. Rozbili namiot na rozstawionych nartach, zjedli kolację... W jednym z odtajnionych dokumentów (w podsumowaniu) napisane jest, że ani sposób rozbicia namiotu ani nachylenie stoku nie stanowiły zagrożenia. Na podstawie cieni widocznych na ostatnim wykonanym przez grupę zdjęciu, eksperci orzekli, że o godzinie 18 namiot już stał. Grupa szykowała się do snu, kiedy wydarzyło się coś strasznego.

Jedna z ostatnich fotografii grupy Diatłowa, na której jej członkowie rozbijają obóz (wykonana prawdopodobnie 1 lutego ok. 17:00).

Jakiś czas później śledczy spróbowali odtworzyć przebieg wypadków. W panicznym przerażeniu, rozcinając nożami poły namiotu członkowie wyprawy rzucili się do ucieczki w dół stoku. Każdy tak jak był – na bosaka, w jednym bucie, w bieliźnie. Trop ich ucieczki dziwnie zygzakował, ślady rozdzielały się a później schodziły tak, jakby chcieli się rozdzielić a jakaś siła łączyła ich z powrotem. Nie było żadnych śladów walki ani tropów innych osób podobnie jak śladów zjawisk naturalnych, takich jak huragan czy lawina.

Pilot G. Patruszew zauważył dwa ciała z powietrza. Wykonał samolotem kilka kół nad nimi w nadziei, że ludzie podniosą głowy. Grupa poszukiwawcza, która wkrótce nadciągnęła (jednego z jej uczestników S.A. Werchowskiego udało nam się odnaleźć)

rozpoczęła rozkopywać śnieg i wkrótce dokonała makabrycznego odkrycia.

Dwa ciała, w samej bieliźnie, znaleziono w miejscu, w którym najwidoczniej próbowano rozpalić ognisko. 300 metrów dalej leżał Igor Diatłow. Zmarł ze wzrokiem wbitym w namiot, do którego próbował się doczołgać. Na jego ciele nie było żadnych obrażeń. Kolejne zwłoki znajdowały się bliżej namiotu. Czaszka ofiary była pęknięta. Straszliwy cios rozbił kość nie powodując rozdarcia skóry, jednak nie to było przyczyną śmierci, lecz wychłodzenie organizmu. Najbliżej do namiotu doczołgała się dziewczyna. Leżała z twarzą w śniegu zbroczonym krwią, która wyciekła z jej ust. Odgryzła sobie język, jednak poza tym ciało nie posiadało żadnych innych obrażeń.

Fotografia z akcji poszukiwawczej.

Jeszcze większą zagadkę stanowiły kolejne trzy ciała znalezione nieco dalej od ogniska. Najwyraźniej zostały tam odciągnięte przez jeszcze żyjących wtedy uczestników tragicznej wyprawy. Zginęli w straszny sposób: mieli połamane żebra, uszkodzone czaszki, wewnętrzne krwotoki. Jak mogło dojść do tak rozległych obrażeń bez uszkodzenia skóry? Jeszcze trochę dalej znaleziono ostatnie ciało. Według akt sprawy zgon nastąpił w wyniku działania niskiej temperatury. Mimo to do dzisiaj, żadna z wysuwanych hipotez przyczyn śmierci turystów nie jest tą ostateczną. Pomimo wielu prób wyjaśnienia tragedii pozostaje ona nadal zagadką zarówno dla badaczy anomalnych miejsc jak i dla organów ścigania.

Długo szukaliśmy tych, którzy dokonywali oględzin ciał. Chirurg I. Prutkow już nie żyje. Pozostali lekarze A.P. Taranowa, P. Gel, Szaronin szczegółów nie są w stanie sobie przypomnieć. Jednak zupełnie nieoczekiwanie (cuda się zdarzają!) spotkaliśmy byłą asystentkę Prutkowa, Marię Iwanowną Solter. Turystów widziała jeszcze za życia, dlatego rozpoznała trupy po ubraniach. Co więcej, twierdzi, że ciał

było nie 9 a 11. Skąd wzięły się 2 kolejne ciała, tego nie wie. W celu przeprowadzenia autopsji tragicznie zmarłych przywieziono wpierw do szpitala wojskowego, za wyjątkiem jednego ciała, które od razu odwieziono do Swierdłowska. Podczas sekcji, jeden z obecnych tam wojskowych wskazał na Solter i zapytał Prutkowa: „Po co wam ona?”. Prutkow mimo, iż był bardzo kulturalną osobą kazał jej się natychmiast wynosić. Mimo, że nie była obecna przy samej sekcji kazano jej podpisać zobowiązanie o zachowaniu tajemnicy. Jak twierdzi kazano to robić wszystkim, którzy mieli do czynienia z ciałami – nawet kierowcom, którzy je przywieźli.

Z czasem zaczęły wychodzić na jaw inne szokujące fakty. Były prokurator-kryminolog L.N. Łukin wspomina: „W maju wraz z J.P. Maslennikowem przeprowadzając oględziny miejsca wydarzeń zauważyliśmy, że niektóre młode choinki na skraju lasu mają nadpalone pnie. Ślady te jednak nie miały jakiegoś koncentrycznego układu, nie było swego rodzaju epicentrum źródła ciepła. Świadczy to o tym, że źródło było ukierunkowane, jak promień lub silna, ale nieznana nam energia działająca wybiórczo. Śnieg nie był stopiony, drzewa nie były uszkodzone. Sprawiało to wrażenie, jakby ktoś w sposób ukierunkowany rozprawił się z turystami po tym jak zbiegli 500 metrów w dół stoku.”

WERSJA RAKIETOWA

Pośród badaczy pojawiła się wersja, iż grupa turystów zginęła przez to, że stali się mimowolnymi świadkami eksperymentów z tajną bronią. Podobno skóra na ich ciałach miała nietypowy fioletowy lub pomarańczowy kolor. Kryminolodzy rzekomo byli tym zdziwieni wiedząc, że jeśli ciało leży w śniegu nawet przez miesiąc skóra nie może zabarwić się w ten sposób. Z drugiej strony, Maria Solter twierdzi, że skóra była po prostu bardzo ciemna – jak to u trupów.

L. Dubinina obejmuje J. Judina – jedyne go uczestnika wyprawy, który ocalał. Wszystkiemu przygląda się uśmiechnięty Igor Diatłow.

Gdyby jednak skóra miała faktycznie pomarańczowy odcień świadczyć mogłoby to o oddziaływaniu paliwa rakietowego. Pewnym potwierdzeniem „teorii rakietowej” jest odnalezienie niedaleko miejsca śmierci grupy Diatłowa dziwnej 30 centymetrowej obręczy, która jak się okazało jest częścią radzieckiej rakiety bojowej. Wzbudziło to kolejne dywagacje na temat tajnych eksperymentów. Miejskowa badaczka i dziennikarka Rimma Aleksandrowa Peczurkina mówi o tym, że członkowie grup poszukiwawczych dwukrotnie, 17 lutego i 31 marca 1959, wspominali o dziwnych obserwacjach na niebie „czy to rakiet czy też NOL-i”. W celu wyjaśnienia tej kwestii grupa Kosmopolsk w kwietniu 1999 przeanalizowała radzieckie materiały, z których wynika, iż w tym okresie nie przeprowadzano żadnych testów rakiet. 17 lutego 1959 w USA odpalono ракетę „Avangard – 2” jednak jej start nie mógł być obserwowany z terytorium Syberii. 31 marca 1959 z Bajkonuru odpalono ракетę R-7, ale start był nieudany. Z poligonu w Pljesiecku rakiety odpalano począwszy od 1960 roku. Ich budowę rozpoczęto w 1957 roku, teoretycznie więc możliwy jest jakiś próbny start R-7 w 1959 roku. Tym nie mniej paliwo tych rakiet nie było toksyczne.

Jest jeszcze jeden ślad świadczący na korzyść „teorii rakietowej”. Turyści przemierzające te rejony często wspominają o głębokich lejach, na które można się natknąć. Nasza ekspedycja z dużym trudem odnalazła dwa takie miejsca, które przebadaliśmy. Nie mogły pochodzić od eksplozji z 1959 roku ponieważ w jednym z nich rosła brzoza, której wiek obliczono na 55 lat. Tak więc jeśli lej powstał w wyniku detonacji musiała ona nastąpić nie później niż w 1944 roku. Oczywiście można przyjąć to za realne biorąc pod uwagę ćwiczebne bombardowania prowadzone w tym rejonie w czasach II Wojny Światowej. Jednak lej... silnie promieniował, co odkryliśmy, ku naszemu zaskoczeniu, dzięki licznikowi Geigera.

Radioaktywne bomby w 1944 roku? Przecież to bzdura...

RADIOAKTYWNY TROP

Wspomniany już kryminolog L.N. Łukin mówił o tym, co go zaskoczyło najbardziej w 1959 roku kiedy składał raport wstępny I-emu sekretarzowi komitetu rejonowego KPZR A.S. Kirilenko. Padło wtedy wyraźne polecenie aby całe śledztwo utajnić, turystów pochować w zabezpieczonych grobach a krewnym powiedzieć, że wszyscy zginęli z powodu wychłodzenia. Łukin przeprowadził jeszcze odrębne badania ubrań tragicznie zmarłych. „Próbki ubrań posiadają podwyższony stopień promieniowania. Elementy radioaktywne ulegają zmyciu, tym samym można przyjąć, iż są efektem radioaktywnego skażenia a nie bezpośredniego napromieniania strumieniem neutronów”.

Rozcięty od środka i opuszczony namiot znaleziony przez ekipę poszukiwawczą.

W jaki sposób turyści mogli znaleźć się w strefie oddziaływania radioaktywnego pyłu? W tym czasie na terenie ZSRR nie przeprowadzano już prób jądrowych w atmosferze. Ostatnia taka eksplozja miała miejsce 25 października 1958 roku na Nowej Ziemi. Czyżby całe to terytorium było zasypane pyłem radioaktywnym w wyniku wcześniejszych detonacji? Nie można tego wykluczyć. Tym bardziej, że Łukin zabierał ze sobą na miejsce tragedii licznik Geigera, który rzekomo tam „szalał”.

A może, ślady radioaktywności nie mają nic wspólnego ze śmiercią grupy Diatłowa? Przecież radioaktywności nie zabija w tak krótkim czasie i nie wypędza ludzi z namiotów! Jeśli nie ona to kto lub co?

Próbując wyjaśnić przyczyny tragedii wysuwano przeróżne hipotezy – od pioruna kulistego po czynnik technologiczny. Jedna z hipotez mówi, że grupa dostała się w rejon gdzie przeprowadzano eksperymenty z bronią próżniową. W jej wyniku

skóra turystów nabrała (rzekomo) pomarańczowego odcienia, nastąpiły liczne obrażenia narządów i wewnętrzne krwotoki (w ZSRR prace nad bronią próżniową rozpoczęto dopiero pod koniec lat 60-tych. Tym samym tę hipotezę można wykluczyć – przyp. INFRA).

Przez jakiś czas podejrzania padały na miejscowych Mansów. Jeszcze w latach 30-tych dokonali oni mordu na kobiecie-geologu, która ośmieliła się wejść na ich świętą górę. Po tragedii Diatłowa i jego towarzyszy aresztowano wielu przedstawicieli tego plemienia, lecz... wkrótce ich wypuszczono z powodu braku dowodów winy. Tym bardziej, że niezwykle zdarzenia w zakazanej strefie nie zakończyły się...

ŚMIERĆ ZNOWU ZBIERA ŻNIWO

Wkrótce po śmierci uczestników wyprawy Diatłowa w niewyjaśnionych okolicznościach (co by świadczyło na korzyść hipotezy o udziale służb specjalnych) popełnia samobójstwo pracownik służby bezpieczeństwa, który za namową G. Patruszewa na własną rękę próbował zająć się rozwiązaniem zagadki.

Widok na Cholatczachl, co w języku Mansów oznacza Górę Umarłych.

W lutym 1961 roku w rejonie Góry Umarłych w mniej więcej podobnych okolicznościach co grupa Diatłowa ginie jeszcze jedna grupa turystów z Leningradu. Znowuż miały miejsce oznaki niebywałego przerażenia: rozcięte namioty, pozostawione rzeczy, ślady ludzi, którzy rozbiegli się w różne strony. I znowuż 9 ciał, tyle że tym razem, ułożonych w krąg wokół namiotu. Ale to tylko jedna z opowieści tubylców. Nie udało nam się znaleźć potwierdzenia tej kolejnej tragedii w oficjalnych dokumentach. Tak więc albo to plotka albo tym razem sprawę udało się bardziej skutecznie zatuszować. Podobnie jak jeszcze jedną historię z udziałem 3 trupów, o której też chodzą słuchy.

Jednak minimum choć jeszcze jeden raz w historii Góry Umarłych pojawia magiczna liczba 9, która znajduje potwierdzenie w dokumentach. Na przełomie 1960 i 1961 roku w trzech następujących jedna za drugą katastrofach lotniczych ginie w sumie dziewięć osób, pilotów i geologów. Jednym z nich był G. Patruszew – ten, który pierwszy zobaczył ciała „diatłowców” i który na własną rękę badał tajemniczą historię ich śmierci.

Góra Umarłych osnuta jest też innymi opowieściami. W latach 70. długo szukano i nie odnaleziono zaginionego młodego geologa. Ponieważ był synem wysoko postawionego urzędnika szukano szczególnie dokładnie. Jednak tak naprawdę można było tego nie robić – on znikł dosłownie na oczach swych towarzyszy. Takich zaginięć było wiele. Kiedy byliśmy tam na jesieni 1999 roku właśnie trwały poszukiwania zaginionej pary małżonków.

ŚLADY PROWADZĄ DO NIEBA

Jedną z wersji rozpatrywanych już wtedy, pod koniec lat 50-tych była ta mówiąca o udziale w tragedii czegoś co teraz byśmy nazwali UFO. Rzecz w tym, iż w czasie poszukiwań zaginionych i prowadzonego śledztwa nad głowami ratowników i kryminologów rozgrywały się rzeczy niezwykle – przelatwały ogniste kule i pojawiały się świecące obłoki. Nikt nie mógł zrozumieć co to takiego i tym bardziej te niezwykle fenomeny wydawały się być przerażające.

Telegram do komitetu miejskiego partii w Swierdłowsku 31 marca 1959 roku o godz. 9.30:

„31 marca o godz. 4.00 w kierunku południowo-wschodnim dyżurny Meszieriakow zauważył duże ogniste koło, które w ciągu 20 minut zbliżyło się do nas by skryć się następnie za wzniesieniem 880. Przed zniknięciem w środku koła pojawił się obiekt w kształcie gwiazdy, który następnie zaczął zwiększać się do rozmiaru księżyca, później opadać i oddzielać się od koła. Niezwykłe zjawisko obserwowało wiele osób. Prosimy o

wytłumaczenie tego zjawiska i czy jest niebezpieczne. Z naszego punktu widzenia robiło to niepokojące wrażenie. Awenburg, Potałow, Sorgin.”

Metalowa obręcz znaleziona w pobliżu miejsca tragedii będąca być może częścią pocisku.

L.N. Łukin : „W czasie śledztwa w gazecie „Tagilski Robotnik” pojawiła się mała wzmianka o tym, że na niebie nad Niżnym Tagilem pojawiła się ognista kula czyli jak to się teraz mówi UFO. Ten świetlisty obiekt przesunął się powoli w stronę Uralu. Za tę publikację redaktor został zwolniony a mi natomiast polecono nie zajmować się tą sprawą.”

Przyznać musimy, że w czasie naszej ekspedycji niczego niezwykłego na niebie nie widzieliśmy, być może dlatego, że niebo cały czas zaciągnięte było ciężkimi chmurami. Ulewny deszcz ustał dopiero wtedy kiedy jakimś cudem udało nam się wydostać ze złowrogiego rejonu. Miejscowe bóstwo Złotej Bramy dało ostatecznie znać, iż odpuszcza nam nasze grzechy gdy śladami niedźwiedzia natrafiliśmy do jego wodopoju akurat wtedy gdy skończyły nam się zapasy świeżej wody. Z pewnością to nic więcej jak zbiegi okoliczności, a wszystkie te niezwykłe zdarzenia na Górze Umarłych to po prostu łańcuch takich przypadków. Nie udało nam się znaleźć przyczyny śmierci turystów choć doszliśmy do wniosku, że starty rakiet nie mają z tym raczej nic wspólnego.

Tablica pamiątkowa poświęcona ofiarom tragedii pod Górą Umarłych.

Już po powrocie do Moskwy zadzwoniłem do wdowy po pilocie Patruszewie, aby zapytać co tak ciągnęło go do tego by ciągle wracać nad Górę Umarłych:

– Mówił, że coś ciągle przyciągało go tam. W powietrzu często widywał świecące kule a wtedy samolotem zaczynało trząść,

przysięgi odmawiały posłuszeństwa a głowa zaczynała potwornie boleć. Wtedy zmieniał kurs i wszystko wracało do normy. Później znowu tam wracał. Mi mówił, że niczego się nie boi, że nawet jeśli silnik przestanie pracować uda mu się wylądować”.

Według oficjalnej wersji pilot Gennadij Patruszew zginął podczas próby awaryjnego lądowania...

Autor: Wadim Czernobrow

Źródło oryginalne: Kosmopoisk

W artykule wykorzystano zdjęcia pochodzące ze strony infodjatlov.narod.ru

Tłumaczenie i źródło polskie: [Infra](#)